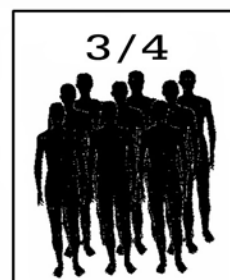


Ośrodek Teatralny Łódzkiego Domu Kultury

BEZKOMPROMISOWA

GAZETA

FESTIWALOWA



Łódzkie Spotkania Teatralne 11-14.12.2008

Teatr MOMO (Katowice) Szary

SZARY, GŁADKI I MDŁY

Teatr MOMO zrobił spektakl o tym, że życie jest ciężkie. Trudno określić, kiedy i jak twórcy *Szarego* dokonali tego spostrzeżenia, ale rezultat – na tle tysięcy spektakli które na ten sam temat powstały – wypada dosyć przeciętnie. Umęczony szary człowiek nieustannie jest wykorzystywany i oszukiwany przez innych, odmawia mu się prawa do marzeń i uczuć. Ową zaskakującą tezę artyści przedstawili w formie pantomimicznej. I może właśnie dzięki temu dało się ów spektakl w ogóle oglądać – bo to, co przykuwało uwagę, to poszczególne scenki (tak jak przy oglądaniu pornografii). Pomimo bardzo prostych zabiegów nienajgorzej wypadło tu plastyczne zakomponowanie poszczególnych momentów. Całość kładła niestety muzyka – nazbyt ilustracyjna, wykonana na jakimś klawiszu o wesełych barwach dźwięku.

Szary ma być rzekomo „szorstki”, ale w większości jest bardzo uładzony i konwencjonalny. Dopiero scena z dwoma aniołami dodała trochę mięsa do stosunkowo mdłego całokształtu. Można powiedzieć, że pobudziła jego krwioobieg. W gruncie rzeczy można by z całego spektaklu zostawić tylko ostatnia etiudę i w sferze przekazu wyszło by na to samo. A komfort odbioru byłby dużo większy.

Luc Cypherus

CELEBROWANIE NAIWNOŚCI

Są takie spektakle, po których widać, że twórcy się postarali. Przeciwiczyli pantomimę, poszukali odniesień do historii teatru, zadbali też o wątek metafizyczny.

I właśnie w takich przypadkach nie wiadomo jak to powiedzieć. Jak powiedzieć, że to już było, wiele razy. Teatr Manhattan to robił i to już dziesięć lat temu. Robił teatr ruchu z ognistą metaforą, łagodnym ruchem i muzy-

ką w tle. Tylko że ta muzyka była często pisana specjalnie do spektaklu...a tu w roli głównej występowały popularne przeboje, puszczane z taśmy. A i estetyka się zmieniła sporo od tego czasu.

Powiedzieć trzeba, że nie zawsze konieczne jest mozolne przedstawianie każdej sceny i każdej myśli ruchem. Istnieje coś takiego jak skrót, albo „wyrazisty znak teatralny o dużym stopniu kondensacji”, że tak się wyrażę. Funkcjonuje także coś takiego jak ironia, dystans. I bywa zbawienne.

Aktorzy Teatru Momo przygotowali swój spektakl tak, jakby o tym wszystkim nigdy nie słyszeli. Z pozycji twórcy naiwnego wystąpili w anielskich skrzydłach, przedstawiając przemoc w kilku wariacjach. Ten silny anioł z piekła rodem na różne sposoby dręczył tytułowego

„Szarego”. Jako anioł, jako fircyk z komedii dell'arte, właściciel psa (bo w końcu sprowadził swą ofiarę do tej roli). Szary natomiast mozolnie układał swoje domki z kart. Odczuwał lęk i nie potrafił się bronić, wciąż miał nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Jego bezradność początkowo wzbudzała współczucie, potem aż chciało się wyć, żeby w końcu zareagował jakoś z jajem.

Męczył też element gry z losem i przeznaczeniem – rodzaj przesładowania za każdym razem zależał od wyciągniętej z talii karty, podsuwanej przez kata. Przewidywalność scenek i ich nieznośnie monotony wydźwięk to chyba największy problem tego spektaklu.

Wszystko to budziło dezorientację, nawet u amatorów anielskich skrzydeł i puchatych piesków. A może bardziej konsternację – To ktoś jeszcze robi taki teatr?? I to całkiem na poważnie? Niemożliwe...

Pik

ŚPIEWANE ALIBI

My Teatru Bramy oglądam po raz drugi i po raz drugi mam takie same, tylko zintensyfikowane wrażenia. Jestem bardzo z wami i słucham was, i dzieje się coś we mnie, kiedy mówicie o „sobie”, kiedy pokazujecie palcem jak się czujecie, jak jesteście traktowani, jak traktujecie sami siebie. Jak to się wszystko miesza i jak bardzo nie wiadomo kto jest kim dla kogo i dla siebie samego. Jestem z wami, kiedy stajecie przed nami ze swoją żarliwością i szczerością, również z bezradnością, i kiedy prześmiewacie samych siebie żeby łatwiej było to znosić. Ale nie mogę zdzierżyć pieśni śpiewanych na głosy. Robicie to dobrze i z przyjemnością, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, ale dla mnie nie ma żadnego uzasadnienia dla tego śpiewanego występu w waszym spektaklu. Zdarza się, że jakaś scena „podkręcona” wzruszającym zaśpiewem traci siłę, a zyskuje patos. Krótko mówiąc - upupiacie się sami. Nie łatwo jest zrezygnować z tego, bo z pewnością uwiedliście się samymi sobą śpiewającymi, a spektakl ma tytuł *My*, więc dajecie sobie pełne rozgrzeszenie z używania wszystkiego, co was dotyczy. Spektakl jest o was, a wy lubicie śpiewać (śpiew jest częścią was), więc macie prawo, żeby posługiwać się nim na scenie dla wyrażenia siebie. Tak, zgadza się, ale czasem warto zrezygnować z oczywistej siły, żeby zobaczyć z pełną świadomością z czym się zostaje i co jeszcze można z tym zrobić.

Anka

ŻYCIE NIE JEST BEZNADZIEJNĄ PŁATANINĄ OKOLICZNOŚCI (CZY JAKOŚ TAK)

Dobra wiadomość jest taka, że faktycznie – nie jest. Mam wrażenie, że zakończenie waszego spektaklu może być znakomitym punktem wyjścia do dalszej pracy, która może zaprowadzić w naprawdę ciekawe rejony artystyczne. Póki co – nie oszukujmy się – bardziej pokazujecie siebie, swoje możliwości, talent i umiejętność bycia grupą na scenie. Spektakl jest fajny, sporo w nim luzu i dobrej zabawy. Publiczność włącza się do finałowej piosenki, więc w zasadzie wszystko chwyciło. Ale byłoby przecież jakimś totalnym nieporozumieniem, gdyby uznać, że to optimum waszych możliwości – zarówno jeśli chodzi o czysto refleksyjny proces wyboru poruszanych tematów, jak i warsztat aktorski.

Jestem niewiele starszy (jeśli w ogóle) od was, też parę lat temu chodziłem do szkoły, i dobrze pamiętam, że co jak co, ale zawartość kanonu lektur, polonistyczna implementacja polskiego mesjanizmu itp. - to wcale nie jest coś, czym ktokolwiek w tym wieku jakkolwiek by się przejmował. Pośmiać się można, jasne, ale jednak miejsce na tego typu numery jest ściśle określone: „program artystyczny” na studniówce. Łódzkie Spotkania Teatralne

– niekoniecznie. Część kabaretowa, przynajmniej tak rozbudowana, po prostu nie pasuje do całości, burzy proporcje, sprawia, że nie do końca potrafisz traktować was serio, kiedy zaczynacie mówić serio.

A przecież są tu sceny naprawdę udane, kiedy faktycznie można uwierzyć w kawałek historii, zobaczyć kawałek realistycznie narysowanej postaci (choćby scena krojenia nóg nożem), wejść w budowaną przez was atmosferę (urodziny, lekko psychodeliczna zabawa przy ludowych pieśniach). Warto by szukać dalej jakiś własnych rozwiązań, ciekawych problemów i emocji (w gruncie rzeczy, nie muszą być wcale jakoś ekstremalnie osobiste i bebechowe) – za to radykalnie zaprzestać pisania scenariusza na zasadzie: „otwieramy szafę ze starymi, dobrymi pomysłami z offu... o! Ciuciubabka! Najpierw będziemy udawać, że się wesoło bawimy, a potem pokażemy Jak Rodzi się Przemoc, to jest to!”. Naprawdę – to nie jest to.

Mimo to, zupełnie serio mówiąc, wierzę w ten teatr, w możliwość bardzo dużego rozwoju. Swoboda w graniu i w byciu na scenie (nawet jeśli np. nie wszyscy z was opanowali zadanie pt. „upadek na ziemię”), umiejętność złapania kontaktu z widzami, autoironia – to już naprawdę sporo, to sprawia, że spektakl ogląda się bez bólu. Teraz wystarczy już tylko zrobić kolejny krok: opuściwszy definitywnie liceum i doszedłszy do wniosku, że życie, choć ciężkie, nie jest beznadziejnym, a co więcej, zawsze warto mieć marzenia – zająć się jakimś realnym problemem, mniej abstrakcyjnym niż sens życia i bardziej osobistym niż przestarzała forma patriotyzmu w lekturach szkolnych. Znaleźć coś na własną rękę, poza supermarketem gotowych scenek, dowcipów i chwytów.

adam



Teatr Kreatury (Gorzów Wielkopolski) *Czeczenki*

STERRORYZOWANI WŁASNYM DYSTANSEM

Trochę miałam stracha, gdy spektakl teatru Kreatury pt. *Czeczenki*, zaczął się jak się zaczął... Nie mam zaufania do przedstawień, gdzie pojawia się wiara w możliwość zrozumienia i wyrażenia problemów, które ze względów kulturowych są jednak w pewnym sensie poza zasięgiem na-

szej wyobraźni. Szybko złapałam oddech, gdy okazało się, że nie będzie to na szczęście karkołomna próba ukazania tego „co siedzi w głowach” czeczeńskich terrorystek, ale pojawiła się nagle na scenie konwencja teatralnej próby... gdy zdążyłam w myślach jęknąć sobie cichutko – dlaczego?! Aktorki zadziały na tyle szybko by moje sceptycz-

ne podejście do tematu „rozbroić”. W spektaklu nastąpiło bowiem połączenie perspektyw możliwego podejścia do kwestii wojny i terroryzmu. Z jednej strony perspektywa zbyt bliska i co za tym idzie mało autentyczna, zasygnalizowana poprzez postać aktorki „wczuwającej się w nie rozumianą do końca rolę, z drugiej perspektywa zdystansowana, ukazująca beztróską lekkomyślność zachodniego sposobu myślenia.

Czeczki to spektakl, który postawił wiele pytań i wprowadził autotematyczną refleksję, nad tym jaki jest cel tego co mówimy w teatrze, gdzie są zaś granice dystansu aktora do roli, który może zabić sens zabierania artystycznego głosu w kwestiach, które zbyt mało dotyczą twórcy.

Na ile blisko można wniknąć poprzez sztukę w takie tematy jak wojna czy terroryzm? Rozwiązaniem jakie znalazł teatr *Kreatury*, było zwrócenie spojrzenia na własny odbiór współczesnej rzeczywistości trudnej i brutalnej, wobec której zajmuje się siłą rzeczy jakieś stanowisko, czy jest nim obojętność, ciekawość czy lęk.

Finał spektaklu, gdzie dochodzi do pozornie nieistotnej, pomyłkowej wizyty nieznanymi, zainteresowanymi marchewkami zawieszonymi w roli ładunku wybuchowego wokół teatralnego kostium w sali prób, nie bawi. Raczej sprawia, że znacznie trudniej pomyśleć, że zagrożenie, zło, jest gdzieś daleko i poza nami a przecież tak najłatwiej oddalić myśli na tematy, zdaje się, znane tylko z pierwszych stron gazet i zza bezpiecznej perspektywy ekranu telewizora.

Gaja

COŚ W CZYMŚ

Zacząło się dość interesująco. Kobieta przyodziewana jest przez sceniczną partnerkę w czarny materiał, który za chwilę będzie kwintesencją tej postaci. Przynajmniej na początku tak się wydaje. Oto stoi przed nami Czecen-

ka, konkretniej szahidka, czego dowiadujemy się w miarę płynięcia jej monologu. Aktorka swą wypowiedzią buduje napięcie, a gdy dochodzi ono do apogeum, nagle urywa je wejście drugiej bohaterki. Okazuje się, że mamy do czynienia z wątkiem metateatralnym. Otóż bohaterka nie jest Czecenką, lecz przybrała taką rolę, by zainteresować swym talentem dyrektora teatru. Druga z postaci jest zarazem jej menedżerką, reżyserką, a także życiową partnerką. Odniosłam wrażenie, że te kobiety stanowią modele typowych przedstawicielek rodzaju żeńskiego czasów współczesnych, które czczą swoje ciała, spożywając wegetariańskie dania, a ich największym problemem jest to, czy staną się gwiazdami. Po drugiej stronie owego modelu stoją teksty zaczerpnięte z opublikowanych kilka lat temu pamiętników czeczeńskich samobójczyń, teksty wzruszające, wręcz dramatyczne. Scenografia jest uboga, lecz to dobrze, gdyż mogłaby zaszkodzić spektaklowi. W tym przedstawieniu należy skupić się na jego treści, a nadmiar ‘zabudowań scenicznych’ zapewne odwrócił by od niej uwagę. Spektakl teatru *Kreatury* uznałam za ciekawy i potrzebny, dzięki tematowi, który poruszał. Tematowi, który mimo swej wszechobecności są nadal tematami niechętnie poruszonymi. Lecz mam po nim pewien niedosyt. Widziałam w nim potencjał, który nie został wykorzystany. Tematy poruszane w nim są tematami ważnymi. Skoro mówimy o rzeczach ważnych, to proszę, mówmy do końca, mówmy wszystko co mamy do powiedzenia, a nie tylko zahaczajmy o temat i nie kończmy go. Może trzeba było skupić się na jednym wątku? Przewrotnym jest zestawienie wypowiedzi lekko feministycznej z historią miłości homoseksualnej na tle gnania do sławy przy użyciu tekstów o tragedii kobiet dalekiego wschodu. I tak, jak w tym zdaniu brakuje przecinków, tak w spektaklu gorzowskiego teatru brakło mi oddechu, zatrzymania się na jednym z tematów.

Eloise

Manifestacja Teatralna Razem

MAMAŁYGA

Portiernia Centralnego Muzeum Włókiennictwa, w niej pan portier. Wchodzę doń cała przemarznięta, piętnaście minut przed rozpoczęciem manifestacji. Wcześniej wspomniany pracownik wskazuje mi drogę, lecz oznajmia przy tym, że „tam to się już zaczęło, a może i kończy już.” Biada mi, że nie zawierzyłam mu i zwyczajnie nie zrobiłam kroku w tył. Ale złe doświadczenia też trzeba kolekcjonować, by później móc dojrzeć te dobre, wartościowe. Zaczniemy od początku. Przestrzeń między magicznymi, niczym wyrwanymi ze skansenu łódzkiej zabudowy miejskiej z XIX wieku, domkami. W głębi kościołek. Bardzo piękna przestrzeń, lecz nie wykorzystana w pełni jej potencjału. Niedoświetlona, niezagarnięta w całości, a szkoda. Pojawiają się aktorzy, poruszający się w takt wierszy Piotra Groblińskiego, wypowiadanych przez megafon. Są starszycy, młodzieńcy, pojawia się nawet para młodych. Niestety, przez wspomniane wcześniej niedoświetlenie, z trudem możemy dojrzeć co dzieje się w ciemnych zakamarkach przestrzeni wokół kościoła, bo jak już wcześniej wspominałam - ze światłem było licho. Czekanie, czekanie i na mrozie stanie. Ku naszemu zdziwieniu, w naszą stronę zaczęła zmierzać młoda kobieta. Zaprowadziła nas do wnętrza muzeum. W postindustrialnych wnętrzach roz-

poczęła się część druga spektaklu. Jak udało mi się zaobserwować, były to fragmenty spektakli już nam znanych. Głównym motywem ustanowiono fragmenty przedstawienia *Wskreszenie ciotki*. Kolejno przecinały je sceny ze spektakli: *Ventriculus*; *Zdjęcie z Panem Bogiem* oraz *Mc Gyver Paluchosky & end*. Jeśli pójść za myślą, iż cały manifest miał ukazywać pejzaż duchowy współczesnej polski, to jak najbardziej owe fragmenty zostały bardzo trafnie wyłuskane z ich pierwotnych form. Do tego wszystkiego ekran, a na nim projekcje. A to z klubu, a to z ulicy. Innym razem z mieszkania ciotki, która umarła. Zastanawiając się nad tym, co dobrego było w tym przedsięwzięciu, a co nie, doszłam do wniosków, że jak najbardziej cenię zamysł łączenia grup teatralnych, by powstało coś nowego, ciekawego dla oka i ucha, interesującego, bo przecież nietypowego. Nie podobał mi się fakt, że zamiast stworzyć coś autonomicznego dla danej grupy ludzi, w danym miejscu i czasie, teatry biorące udział w tym projekcie zlepiły coś, co już było. Tytuł tej akcji brzmi „Razem”. Teatry były razem na scenie, owszem. I to by było na tyle.

Eloise

RAZEM ALE OSOBNO

Manifestacja teatralna Razem. Jakież przewrotny tytuł dla tego działania! Całkiem liczna grupa ludzi połączyła wysiłki, żeby wspólnie skonstruować agregat zatimizowanych elementów, nijak nie dających się ze sobą połączyć. Początkowe działanie w przestrzeni skansenu drewnianej zabudowy starej Łodzi mogłoby sugerować, że będzie chodziło o nostalgię za starymi dobrymi mieszczańskimi czasami. Już zacząłem się wewnętrznie dostrajać do takiego nastroju, już zacząłem wspominać stary drewniany dom mojej babci, który niewątpliwie świetnie pasowałby do tej rekonstrukcji starej uliczki, ulicę brukowaną kocimi łbami, ciszę panującą nad uspionym miastem, z rzadka tylko przerywaną warczeniem samochodu. Ciszę, jakiej już nie można doświadczyć w żadnym współczesnym mieście. Ale niestety, spodziewany nastrój nie pojawił się. Nie zbudowały go przemykające po uliczce postaci, ani wiersze Piotra Groblińskiego. Niestety nawet muzyka Włodzimierza Kiniorskiego. Wszystko to – zabytkowa architektura, poezja, muzyka – było samo w sobie interesujące, ale niestety ciężko znaleźć wspólny mianownik.

Podobnie było z resztą w drugiej części manifestacji.

Każdy z biorących w niej udział teatrów – ab'Surdut, Wielokropek, Realistyczny oraz Orfa i Kilku Osób – posiada odmienną poetykę, ich poszukiwania podążają w różnych kierunkach i jedyne co je łączy, to fakt, iż teatr alternatywny ze swej natury zajmuje się sondowaniem kondycji duchowej otaczającego nas świata. Uprawomocnia je to do współwystępowania, ale przecież robią to i tak w ramach Łódzkich Spotkań Teatralnych, Łópty czy innych festiwali tego typu. Tutaj, w przypadku Razem, koegzystencja zacieśniona została do raczej do wzajemnego wchodzenia sobie w drogę, ogólnego przerywania sobie i wybijania z kontekstu. Może o wiele bardziej efektywnym rozwiązaniem byłoby zadanie owym teatrom jakiegoś wspólnego tematu, postawienie ich w sytuacji, w której musiałyby one wynegocjować jakąś wspólną linię działania, ustalić jakąś wspólną estetykę. Może pomogłoby większe rozproszenie prezentowanych działań po terenie Centralnego Muzeum Włókiennictwa, tak by odbiór ich przez publiczność nabrałby formy artystycznej peregrynacji. Coś jak – całkiem udana przecież – akcja z ostatniej Łópty, tylko w mniejszym zakresie i na mniejszej przestrzeni.

Luc Cypherus

Art.51 (Zgierz) Extra Virgin

„Sztuka feministyczna jest jak anoreksja – wyrzeka się ciała, bo nie może o nim przestać myśleć”. To z mojego punktu widzenia najważniejsze zdanie wieczoru. Bo Extra Virgin był dla mnie ważny bardziej jako refleksja nad sztuką, wypowiedź autotematyczna. Jako próba odpowiedzi na dość dramatyczne pytanie – dlaczego od paru ładnych lat robimy na scenie to, co robimy? Jako zapis bardzo osobistych obsesji artystycznych. Tak rozumiany spektakl był poruszający.



Jakby mniej przekonywało mnie to, co „poniżej”, na poziomie czystych emocji. Bo tu wkurzało mnie jakoś, że Art 51 eksploatuje tak podobne motywy, emocje, w tak w sumie podobny sposób jak choćby w „EKG”. Tak samo, tylko bardziej. Choć można oczywiście powiedzieć, że są tematy tak ważne, że warto do nich wracać, i to nie raz. Cały czas zastanawiam się, czy jeżeli czytać to jako sztukę

feministyczną, a nie wypowiedź o sztuce feministycznej, to czy nie za wiele było w tym łopatologii. Choć można zawsze powiedzieć, że jest w tym tyle autentyzmu i tyle intensywności, tyle mocnego uderzenia, że łopatologia nie tyle nawet nie przeszkadzała, co była niezbędna. Chciałbym pewnie czegoś innego, lecz zapewne nie byłoby to to, czego chcą dziewczyny – i tak być oczywiście musi. Ich obsesje nie są moimi obsesjami, chciałbym by szukały dla nich bardziej zapośredniczonej, mniej dosłownej formy, tak by mogło dojść pomiędzy nami do kontaktu, jakiegoś współuczestniczenia w tych myślach i emocjach. Jednak są tutaj mocne granice, być może nie zawsze przekraczalne – co jednak może się udać; udawało się chyba w scenach z matką tańczącą z córką, a potem tulącą ją do snu.

Abstrahując od tego, nie wiem czy nie zabrakło tu trochę dopracowania inscenizacji, rytmu, przejść pomiędzy scenami i częściami. Ale z drugiej strony trudno stawiać jakiegokolwiek warsztatowe zarzuty aktorkom, które tak genialnie i swobodnie jedzą z widzami pysie.

adam

ROZMOWA REDAKCYJNA O EXTRA VIRGIN

Adam: Można by ten spektakl traktować jako badanie granic sztuki feministycznej, ale tego dyskursu tak naprawdę było niedużo, w większości to był łopatologiczny walony tekst feministyczny, w sumie dość prosty.

Anka: Ale co masz na konkretnie na myśli?

Adam: No, relacje z matką, manifest pt. chce mieć syna i tym podobne, generalnie to są proste rzeczy, oczywiście to nie musi być zarzut, ale chciałoby się jakichś komplikacji.

Anka: Jakbyśmy spróbowali nazwać sobie te etiudy, np. relacja z matką, stosunek do własnej seksualności, do ciała, do kobiecości - i to pewnie jest banalne, ale tu ma znaczenie jak one wypowiadają nawet banalne kwestie, jak patrzą się na siebie. To jest interesujące, bo to jest nacechowane ich osobistą historią, ich zaangażowaniem

w temat i w tym sensie przestaje być banalne, zresztą one programowo włączają banał w przestrzeń gry.

Adam: Ale ja mam obawę, czy to nie jest chowanie się za swego rodzaju gardą? Cały czas klóć się sam ze sobą, czy w ich przypadku autotematyzm jest w centrum wypowiedzi, czy jest zasłoną, żeby móc powiedzieć te wszystkie banały i jeszcze zrobić taki unik i obśmiać banał. W przypadku poprzednich przedstawień nie miałem takiego wrażenia.

Anka: Można by Cię skwitować mówiąc, że jesteś przedstawicielem kultury białych ojców i nie jesteś w stanie przyjąć tej optyki – dla ciebie zawsze one będą banalne, bo samo zajmowanie się kobiecością jest banalne.

Adam: Nie! Ale czy nie jest banalne stwierdzenie, że jak się stanę stara i gruba to przestanę być kobietą i że kobiecość jest zagrożona? A moja męskość nie jest zagrożona? Jak ja się zestarzeję to moja męskość też będzie stała gorzej niż teraz i się jakoś nie użalam.

Anka: Ale one również o tym mówią dlaczego Ty się nie musisz użalać. Bo starość kobiecego ciała jest inaczej nacechowana niż męska starość.

Adam: Też nie jest fajnie. Ale oczywiście jest w tym racja, i może i faktycznie przemawia przeze mnie kultura białych ojców, ale to nie znaczy, że ona nie ma nic do powiedzenia.

Anka: A co cię uwiera w tym spektaklu?

Adam: To że był lopatologiczny i posługiwał się podobnymi chwytami, które już u nich widziałem – np. przepasanie się bandażem – jak przepasanie piersi folią w EKG.

Anka: Nie, to moim zdaniem coś innego znaczy, folia w EKG zasłaniała, odsłaniając kobiecość, a bandażowanie piersi koresponduje z tym co bohaterka mówi na końcu; chce mieć syna, ona w jakimś sensie chciałaby być synem.

Rafał: Ona tym gestem mówi, że jeśli nie może uczestniczyć w męskim dyskursie to poprzez syna chce w niej uczestniczyć.

Adam: Jak u Freuda, że rodząc syna chce sobie zrekompenzować brak penisa? Nie sądzę.

Anka: Ja to inaczej czytam, że to jest dramatyczne wyznanie, że chce mieć syna, bo nie chce mieć córki, bo uwikłanie w relacje kobiece jest zbyt bolesne, zbyt trudne. Ale ona nie mówi w tym momencie o potrzebie wejście w jakiś dyskurs z męskością.

Ale rzeczywiście to czego mi brakuje, to żeby dziewczyny próbowały dyskutować bardziej wnikliwie w obrębie tematu, na który się zdecydowały, taki dialog w obrębie samego feminizmu się odbywa.

Adam: No więc właśnie.

Anka: Ale nadal twierdę, że bronią się biografizmem, zaangażowaniem i tym jak ośmielają się używać siebie na scenie. I to moim zdaniem daje im osobne miejsce i jest ich siłą. Więc w jakimś sensie pogłębia ten dyskurs to, w jaki sposób one to robią

Adam: Tylko ja mam wrażenie, że nic się od 4 lat, od EKG nie zmieniło, i niczego nowego się teraz w sumie nie do-

wiedziałem, było może ostrzej.

Anka: Ja się nie zgadzam, że mówią o tym samym, ja myślę, że one pogłębiają ten temat (co nie znaczy że nie ocze-kuje, czegoś więcej i głębiej).

Rafał: Ja myślę że to nie jest robienie spektakli o tym samym, tylko jest to pewna obrona droga.

Anka: Dla mnie to, w jaki sposób została zbudowana rola Justyny call girl, jest w opozycji do tego, jak one do tej pory budowały temat użytkowania kobiecej seksualności. One nigdy nie poszły tak daleko, że część widowni męskiej mogłaby zareagować instynktownie.

A to że one to tak mocno nakreśliły, zmienia wszystko. Rozumiesz czasami to „jak” zmienia wszystko.

Adam: Jeśli to uważasz za progres, to co byś uważała za kolejny krok?

Anka: Dla mnie będzie to kiedy one zaczną w obrębie tej idei prowadzić dyskusję.

Adam: No właśnie, dla mnie pogłębianie póki co polega na tym, że dochodzą coraz bardziej do ściany, że jest coraz ostrzej.

Rafał: Ale nikt z nas nie wie gdzie jest ta ściana. Zakładasz że ona istnieje?

Adam: Może i nie. Nawet jeśli, to i tak jest ruch jedno-stajny.

Anka: Chciałbyś po prostu, żeby zeszły z tego tematu.

Adam: Nie, żeby wprowadziły nowe ujęcie

Anka: Ale tym wymaganiem nawet ja opowiadam się za tym, żeby one wreszcie odpierdoliły się od tego tematu i wzięły się za poważny intelektualny dyskurs na temat feminizmu, czyli go skrytykowały i z niego wyszły. A trudno nam zaakceptować, że one chcą ten sam temat drażyć, bo ten temat ciągle istnieje i ich dotyka.

Adam: Ale to byłby ciągły sequel.

Anka: A latanie w trykotach i mówienie o marzeniach nie jest sequelem?

Adam: To jest zupełnie inna kategoria, nie ma co porównywać.

I chodzi mi o wprowadzenie nowego ujęcia, a nie robienie tego samego co poprzednio tylko bardziej. Po prostu.

Anka: Dla mnie niektóre sekwencje są nowe. Całą opowieścią jest taniec z matką, obraz tego przeobrażającego się tańca to jest na przykład pogłębianie tematu.

Rafał: No właśnie. Anka gra matkę, ale ta ich relacja nie jest do końca jasna. W tym tańcu gdzie ona tańczy jak z lalką, Agata traci siłę. I to jest jakiś sworzeń pomiędzy tą sceną, a call girl. Te dwa światy, które wydawałaby się że są odległe i nieprzystające, w tym tańcu się zbliżają i granica między nimi się rozmywa, jakby alternatywa rozłączna zamieniła się w alternatywę łączną, nie albo/albo tylko i/lub, bo gdyby nie ten motyw, można by pomyśleć, że to są dwa inne spektakle.

I to na przykład pokazuje, że to nie jest tak, że dla nich jest jeden temat, jeden punkt w przestrzeni i one ciągle nim stoją.

Rozmawiali: Anka Rogala, Adam Gniazdowski, Rafał Zięba

Teatr niebopiekło (Bydgoszcz) *un esempio*

SOBOTNIE KAZANIE

Ten kto przetrwał spektakl *Un esempio* teatru Niebopiekło bez ziewnięcia, bez cichego choć chichotu czy gestu chowania twarzy w dłoni, zostaje uznany za świętego od ręki bez procesów beatyfikacyjnych. Może nie po pierwszym uderzeniu bębna, ale po pierwszym wypowie-

dzianym na scenie zdaniu wiedziałam, że jest źle i nie ma się nawet co ludzić, że jest to wyłącznie patetyczny wstęp, który zaraz przełamie coś zaskakującego... Spektakl był teatralną herezją, choć odegraną faktycznie z wielką żarliwością, zaangażowaniem i wiarą w to, że jest to wielka

sztuka. Takie miałam wrażenie... Jest mi przykro, że widząc, jak ktoś do mnie mówi, krzyczy i wije się po scenie – jako odbiorca nie czuję nawet zainteresowania tym, co się tam właściwie dzieje, nie czuję nic prócz zażenowania. Tylko oczywiście trzeba zapytać co się stało, że temat poważny, tragiczna historia opowiadana przez aktorów, nie została właściwie nawet uszanowana przez widzów, którzy nie mogli się powstrzymać od śmiechu. Może i autorzy nie uszanowali widza, zakładając, że nie mają swych poglądów na tematy religii, wojny, aborcji, mówiąc do nich głosem naiwnie pompatycznym, smutnie sztucznym, dotkliwie natarczywym. Zaznaczam, że nie temat spektaklu jest celem mojej krytyki, bo to jakie kto ma poglądy na sprawy, o których mówiono w *Un Esemplio* jest rzeczą odrębną. Ubolewam, że całe to zderzenie racji na wyjątkowo drastycznym przykładzie, ukazujące konflikt religii chrześcijańskiej z realiami, w których życie według prostych dziesięciu przykazań zdaje się być czymś wręcz niemożliwym, zostało potraktowane w tak czarno biały sposób. Jeżeli była w tym wszystkim krytyka kościoła, dalekiego w tym co głosi od piekielnej rzeczywistości, to została ona przeprowadzona w niezrozumiałej dla mnie i nie dającej się strawić formie. Historia o bośniackiej kobiecie, która została zgwałcona podczas wojny, zaszła w ciążę i w finale umarła, nie jest z założenia zabawna... z czego się śmiano zatem? Zmanierowana, patetyczna forma bawiła. To była reakcja obronna... Gdy krzyżowano ze sceny „niech stanie się cud” – liczyłam na cudowne zakończenie spektaklu, gdy mówiono o tym, że w życiu trzeba nieść swój krzyż, uznałam, że *Un esemplio* będzie moim teatralnym krzyżem na tych ŁST 2008 – dlatego tylko zostałam do końca...

Gaja

WOŁANIE O POMSTĘ DO NIEBA

Un Sempio Teatru Niebopiekło, spektakl głęboko osadzony w kulturze katolickiej, czy raczej jej dogmatyczno-okrutnym odłamie, oburzał wyjątkowo mocno. Zbudowany na antynomii między postacią zastygłego w swych poglądach księdza a młodą dziewczyną, ofiarą wojennego gwałtu, wywołał wilka z lasu. I teraz już będzie słychać tylko szczekanie, zawodzenie i wycie do księżycy.

Mam ochotę napisać jedno: odczepcie się od Chrystusa, dajmy pokój dyskusji czy istniał czy nie, zakładając, że tak, przestańcie używać jego historii do swoich niecnych celów, do dręczenia i indoktrynowania ludzi w ogóle, a w szczególności do dręczenia widzów teatralnych.

I odczepcie się od gwałconych na wojnie kobiet, od eksploatowania ich dramatów i zalecania modlitwy gdy zalecić należy terapię, i to głęboką.

I naprawdę odpuśćcie sobie w tym kontekście teksty typu „Dziewczęta powstrzymajcie swe żądze, uprawiajcie sport”. Widownia ŁST jest do cna zepsuta, śmiała się głośno, a chłopcy nawet mówili „Nie słuchajcie go”. Szanowni Państwo, pomyliliście albo temat, albo środki wyrazu, albo miejsce. Jedyny ciekawszy moment to kiedy nastąpiło bicie w bęben, po cichu liczyłam na coś bardziej ludzkiego, warsztaty tańca afrykańskiego na przykład. Ale nie, pętla się zacieśniała. To było nie do zniesienia. I jeszcze na koniec ten motyw a la Edgar Allan Poe - budzenie się a trumnie, połamane paznokcie, rozwiane włosy...Nie mówcie o cudzie i świętości, gdy trzeba serca i zrozumienia. Zdaje mi się, że na tym istota chrześcijaństwa polega, ale może się mylę, jestem heretyczką i tylko modlitwa może mnie uratować. Zatem módlcie się za mnie, bo ilość negatywnych uczuć jakie wzbudziła we mnie ta teatralna produkcja jest zatrważająca i nie wiem co z nimi począć.

Pik

Teatr Porywacze Ciał (Poznań) *Correctomundo*

TWÓJ WYBÓR, TWOJA SZANSA

Za stary jestem żeby udowodniać komukolwiek, ile jestem w stanie wytrzymać w teatrze. Sobie to udowodniłem już wielokrotnie, więc kiedy *Correctomundo* Porywacze Ciał zaczęło się zamieniać w test na odporność, uświadomiłem sobie z miejsca, iż czas dobrej zabawy się skończył. I wyszedłem. Później, w ŁDK, dogoniła mnie większość widowni. Była wyraźnie zadowolona. I tak naprawdę się temu nie dziwię, ja też byłem zadowolony – do sceny z kartoflami.

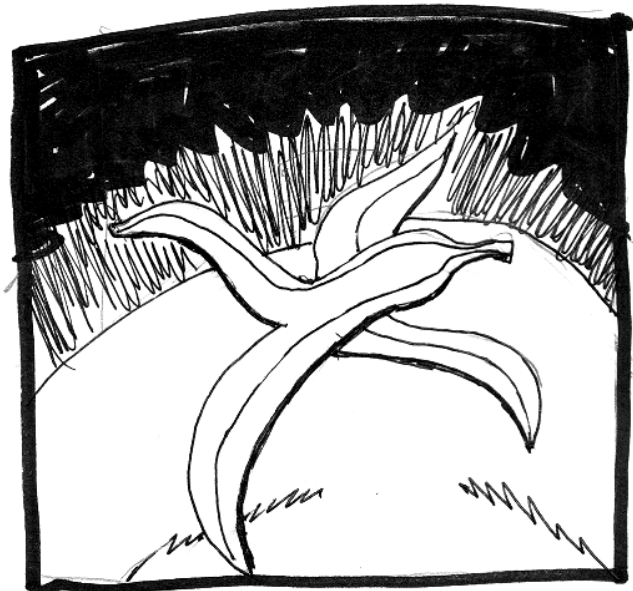
Cykl zabawnych etiud, składających się na ten spektakl, można oczywiście spróbować jakoś zinterpretować. Opowiedzieć o wizji świata przeładowanego gadżetami, świata powierzchownego, w którym osobowość zostaje wypierana przez przerośnięte ego, egocentryzm niszczy relacje sympatii i empatii. Ale tak naprawdę niczego by nie wniosło do całości sprawy. Dobry warsztat, zabawne pomysły, świetna relacja z publicznością – mi to w zupełności wystarczyło. A możliwość wyboru zakończenia, czyli tego, w którym momencie przerwać oglądanie, stanowi premiiowy bonus.

Luc Cypherus

SZALEŃSTWO KONTROLOWANE

Porywacze mnie porwali do swojej plaży, łóżka, samolotu, meczu bokserskiego, Transylwanii, wymagowanej Japonii czy czego tam jeszcze. Programowa 6

nadmiarowość „*Correctomundo*” dotyczyła nie tylko miejsc i poziomów rozmowy w widzom, ale także nastrojów, jakości i istnego panopticum rekwiwytów. Scena jak w dziecięcym pokoju – pełno zabawek, z wyjątkowym upodobaniem do tych idiotycznych i koloru czerwonego. Ale tematy zgoła niedziecięce, raczej obnażające zbiorowy infantylnizm społeczny i idiotyzm istnienia w ogóle. Przyprawiający o pomieszanie zmysłów miks powagi ze śmie-



chem, czy może obśmianiem wszystkich i wszystkiego, banału i spraw najważniejszych na świecie. Imponujące wykorzystanie środków aktorskich: magiczne przeistoczenie z kurwy w radosne dziecko, z terrorysty w równie szalonego ojca, do tego taniec, śpiew i wszelkie chwytły spod znaku najlepszej tradycji błazenady. W tym spektaklu wszystko mogło stać się pretekstem do zadziwiającej gry aktorów między sobą i gry z widzem: dylematy trzydziestolatki, wariacje na temat postaci diabelka, samobójczy atak terrorystyczny na białą kominiarkę i dziecięcy telefonik. Trójka aktorów (Maciej Adamczyk, Agnieszka Kołodyńska i Wojtek Czarny) walczyła o uwagę widza, grała mu na nerwach, testowała granice wytrzymałości na teatr. Co chwila nowe miejsce, nowe rekwizyty, wynalazczość totalna. Ale nawet przez chwilę nie było nudno. Pierw-

szy zespół, który autentycznie zawalczył o widza, wywołał żywe reakcje i interakcje. Namówił do skandowania haseł: „zabijmy ich wszystkich”, wrzucania pieniędzy do kubeczka, wywołał gwizdy, pomruki zachwyty bądź trzaskanie drzwiami przez ewakuujących się uciekinierów.

Wreszcie nadeszła „końcówka”, nazwana teatrykiem, w którym walka o widza osiągnęła swe apogeum. Czegoż tam nie użyto: i makaronu, i fartuszków eksponujących seksualne atrybuty, i plastikowych rurek, i sztucznych ogni nawet. Aktorzy jawnie walczyli także między sobą, próbując ukraść sobie sceny. W powietrzu wisiało pytanie, jak długo oni tak jeszcze mogą? Przez moment zdawało się, że czekają aż ktoś to w końcu przerwie, publiczność próbowała bić brawa, ale nie, grali dalej. Doskonale czując widownię, Maciej A. pospieszył z odpowiedzią:

żeby nie było, że my tak z głowy gramy, to proszę...I przeczytali z kartki: plaża, walka bokserka, wampir, scenka z dzieckiem, a to co jest teraz to teatryk.

Zabawianie widza przybrało barwy niczym w „Mamy talent” czy innym Idolu, stanowiło ich świetną parodię. Wreszcie podróż Dorotki do krainy Oz, się skończyła. Jak się dowiedzieliśmy, srebrne buciki zostały bezpowrotnie zagubione, ale to na pewno nie jest jedyny efekt tego zamieszania. W głowie widza na pewno zostanie jakiś ślad.

Pik



Teatr Realistyczny (Skierniewice) Kurtland

Jako fan Robka Paluchoskiego jestem rozczarowany. Kurtland miał znakomite momenty, ale zatracił podstawowy walor spektakli Teatru Realistycznego – siłę i celność uderzenia. Decyzja adaptacji kilku różnych kawałków Vonneguta niweczy – mimo dość rygorystycznego zachowania jednolitości formalnej – spójność całości. Konstrukcja rozłazi się w szwach, napięcie spada, uwaga zaczyna się rozpraszać, a przekaz traci połowę impetu.

A przecież początek zapowiadał zupełnie co innego. Zmasowany atak wizualno-dźwiękowy rozpadającego się na kawałki i zremiksowanego Requiem wbił mnie w ławkę. Potem przez pewien czas utrzymywała się gęsta atmosfera totalnego horroru. Ale już w epizodzie o perypetiach Earla i Charleya wszystko siadło, pogubiło się w zalewie tekstu. Do końca w zasadzie nie poczułem już – jak na początku – realnej grozy, co najwyżej wzdrygałem się, atakowany kolejnymi wybuchami. Nie mogłem otrząsnąć się ze znużenia, a jednocześnie strasznie mnie to znużenie irytowało – przecież było tu ciągle dużo ciekawych kwestii. Choćby prowokacyjne pytanie o ostatnie słowa Hitlera, czy wizja 400 milionowej populacji planety i 200 letnie-

go życia (niejako wbrew intencjom twórców czuję kuszący urok owej wizji), wreszcie przewrotne odwrócenie mitu Romea i Julii (gdy rodzina nakazuje młodym pobrać się i żyć szczęśliwie, pozostaje tylko się rozstać) – to wszystko rzeczy frapujące, o których warto powiedzieć. Cóż z tego, skoro odpowiedzi na pytania stopniowo zaczynają nas coraz mniej obchodzić, wreszcie nie chcemy już po prostu niczego więcej słuchać.

Formalnie wszystko jest w porządku, wręcz dużo bardziej niż w porządku: staranna inscenizacja, psychodeliczne kostiumy i setting, multimedialne bombardowanie różnymi kanałami – to wszystko robi wrażenie, zwłaszcza na początku. Tyle że cała ta para idzie w gwizdek, bo w spektaklu postawiono tym razem na treść. A ta, choć niebanalna, przez swe rozproszenie nie przekonuje i nie wciąga.

adam

TRUPKI Z SZAFKI WON WON WON

Takiej scenografii nie widziałem na ŁST już dawno. Teatr Realistyczny najwyraźniej przeistacza się w Teatr



Z Meblami. Ściany, drzwi etc. Gdyby pozawieszać jeszcze jelenie rogi, można by grać w tej scenerii komedie mieszczańskiej. Na szczęście sprawę uratowały kostiumy. Aktorzy wystąpili w białych kombinezonach i maskach. Aż kuśiło, aby jakoś tę unifikację wykorzystać dalej, np. do tego, aby aktorzy „wymieniali się” granymi przez siebie postaciami, albo coś w tym stylu. Jednak i to, co było, wystarczyło jako dostateczne zdystansowanie się od realistycznej konwencji. Ciężko zresztą uderzać w realizm, kiedy za podstawę tekstu bierze się prozę Kurta Vonneguta. Trochę z Rzeźni nr 5, trochę z wczesnych opowiadań. Składało się to na wypowiedź w gruncie rzeczy ciekawą, ale przyznać trzeba – z Vonneguta można by skonstruować dużo bardziej dowcipną i dużo bogatszą wypowiedź.

Nie chodzi o to, że było źle. Poruszane sprawy dotyczyły dystrybuowania wolności i swobody wyboru w procesie wychowawczym, umiejętności (a raczej nieumiejętności) przejmowania odpowiedzialności za siebie, a także zauważonego przez Vonneguta eschatologicznego paradoksu. Posiada on dwa aspekty. Pierwszy dotyczy tego, że skoro życie pozagrobowe jest takie fajne, to zabójstwo (o ile jest dokonane bez rozmyślnego okrucieństwa) powinno być postrzegane jako czyn altruistyczny. Drugi – sygnalizowany także tu i ówdzie w literaturze SF – dotyczy niemożności pogodzenia podstawowych wartości rodzinnych z pragnieniem wiecznego pokoju i dostatku.

Mógłby ktoś wybrzydzać, że te tematy z drugiego aspektu były już niejednokrotnie eksploatowane. I co z tego? Czasami dzieje się tak, że – kiedy chce się uciec od uwierającego problemu – sypcha się go w sferę banału, wytarcia, niemody. A tymczasem merytoryczny aspekt wcale się od tego nie kurczy. I dobrze jeśli od czasu do czasu ktoś przychodzi powygarniać trupy z szafy.

Luc Cypherus

Zasłyszane po spektaklu

Paluch musi napierdalać bo jak nie napierdalała to wychodzi jakieś takie głupie mizianie się .

NOWE ASPEKTY GLOBALIZACJI

Jak się okazało na omówieniach nawet październikowe spektakle potrafią mieć intrygujące konsekwencje. Na przykład taki Un Esemplio. Ogólnie się nie spodobał, ale istotną okazała się skala niezadowolenia. Dyskusja bardzo szybko zeszła na bluźni i trzaskanie drzwiami. I raptem okazało się, że na Teatr niebopiekło wszyscy są wściekli: katolicy – bo odebrali przedstawienie jako antykatolickie, feministki – bo uznały je za antykobiece, agnostycy – bo prokatolickie... Diabli wiedzą kto jeszcze i za co. Po raz pierwszy w czasoprzestrzeni mogliśmy doświadczyć prawdziwej globalizacji wkurwienia, która rozwinęła się w tak szybkim tempie.

Miś Przekliniak

Gazeta: Jak się czujesz jako juror po raz kolejny zapraszany na ŁST? I jak widzisz swoją rolę tutaj?

Ewa Wójciak: Ja sobie cały czas to pytanie zadaję i ono jest dla mnie ciągle na nowo ważne. Wydaje mi się, że ja ciągle mam rodzaj instynktu i potrafię usłyszeć czy zobaczyć w tym co oglądam, ponad warsztatem i metodą konstruowaniem wypowiedzi, tą podstawową intencję. To znaczy widzę czy ona wynika z potrzeby zmieniania świata, własnej potrzeby żeby się wykrzyzczyć, czy szeptem zwierzyć się, coś zrobić. Czy ona jest zawodowym, teatralnym przesłaniem. Mnie się wydaje, że ja jestem od tego, żeby pilnować tego rozdzielania. Tego żeby jakiś teatr, któremu się zdarzy niedoskonałość warsztatowa, nie przeszedł tylko z tego powodu niezauważony. A tutaj jest wiele przykładów, że parę lat (uważności, uznania) danych jakiemuś zespołowi, sprawia, że on ewoluuje i staje się dojrzały i artystycznie sugestywny.

Stopa:

Rafał Zięba (red. naczelny), Ania Rogala, Adam Gniazdowski, Karolina Moszkowicz, Paulina Iłska, Magda Gaj

Agnieszka Marzęta (rysunki), Norbert Młyńczak (skład), Rafał Czekajewski (foto)